

Rafał Żebrowski

„LWIGRÓD” – UTRACONE DECORUM

Mogłoby się wydawać, że temat, który podjąłem, w zasadzie jest drugorzędnej natury, bowiem odnosi się do jakichś drobiazgów, podczas gdy najważniejszy i najślawniejszy obok „Patrii” krynicki przybytek kuracyjny przestał straszyć swym widmem ściągających tu wczasowiczów i letników. Wobec tego na wstępie chciałbym przypomnieć sentencję łacińską: *Decorum ab honesto non potest separari*, co w wolnym przekładzie znaczy: „Zaszczytu [ozdoby] nie można oddzielać od szlachetności”. Podobnie jak wiele innych myśli przesyconych życiową mądrością, także i ta jest anonimowa, co tylko pomnaża jej zniewalającą siłę, która wynika zarówno z powszechnego rodzajowi ludzkiemu poczucia sprawiedliwości, jak i teźże społecznego zastosowania, albowiem istotnie dobro powinno być w naszych oczach czymś pięknym, a nie wyszydzanym Łazarzem. Powyższe słowa wskazują, że – jako autor – bynajmniej nie jestem wobec tego tematu obojętnym, rzeczowym sprawozdawcą. W zasadzie ten ton zupełnie wystarczająco uzasadnia troska o dobro publiczne, a zwłaszcza zachowanie spuścizny naszych przodków, którym winniśmy dbałość szczególną, jako obywatele kraju nawiedzanego w przeszłości licznymi najazdami i nieproszonymi wizytami rozmaitych łupieżców. Właśnie w tym kontekście trudno się pogodzić dosłownie z każdym uszczupleniem dziedzictwa kulturowego, które w tych nader niesprzyjających okolicznościach dotrwało do naszych czasów, zwłaszcza jeśli prowadzi doń brak rozważności i przerażająca małoduszność. Jestem też historykiem i już to samo pomnaża mój ból obywatelski. Można w nim znaleźć również pewną dozę osobistego żalu, związanego z losami mej rodziny, która wydała jednego z największych polskich poetów, Zbigniewa Herberta. Poświęcony mu przez Parlament Najjaśniejszej Rzeczypospolitej rok właśnie niedawno się zakończył. Bowiem równocześnie istnieją istotne związki pomiędzy jego i moim domem rodzinnym i owym *decorum* krynickiego „Lwigrodu”. Ale nie uprzedzajmy wypadków...

Opowieść naszą należy chyba zacząć od wybuchu I wojny światowej, do którego doszło niemal w środku krynickiego sezonu letniego 1914 roku. Kurort ów był już wówczas ośrodkiem wczasowo-lecznym o ugruntowanej renomie. Przeżył on głęboki kryzys w latach trzydziestych, czterdziestych XIX wieku i na początku kolejnej dekady groziły mu kompletne bankructwo i wręcz zagłada. Wszakże od 1852 roku Krynica najwyraźniej poczęła się dźwigać, a następnie w okresie autonomicznym Galicji dochodzić do rozkwitu. Światowy konflikt zastał ją w czasie przygotowań do kolejnej fazy rozwoju, który w sposób gwałtowny wojna przerwała, bowiem mobilizacja i dramatyczne wieści

sprawiły, że tutejsze deptaki i pensjonaty natychmiast opustoszały. Nie trzeba też było długo czekać na to, by w Nowym Sączu i samej Krynicy pojawili się przedstawiciele władz naczelných całej prowincji, ewakuowani wraz ze swymi urzędami ze stołecznego Lwowa, jak również szpitale wojskowe. Zresztą już 1 XII 1914 r. wkroczyły tu wojska rosyjskie, których forpoczta byli oczywiście kozacy, napęlniający niejaką zgrozą mieszkańców tej ziemi. Na szczęście ofensywa Moskali właśnie wówczas ostatecznie straciła swój impet i została zatrzymana, toteż już po tygodniu wycofali się oni z uzdrowiska, a ostatnim akordem ich poważniejszej obecności militarnej w tej okolicy było starcie pod Powroźnikiem, i to właśnie kozaków, teraz idących w straży tylnej.

Ostatecznie sześć miesięcy później zostało oddalone wszelkie zagrożenie, kiedy to 2 V 1915 r. pod Gorlicami ruszyła austriacko-niemiecka ofensywa, która po przerwaniu frontu z czasem doprowadziła do oswobodzenia znacznej części Galicji z Lwowem na czele. Jednak aż do końca wojny trudno było marzyć o podtrzymaniu napływu kuracjuszy i wczasowiczów do Krynicy choćby na zbliżonym do przedwojennego poziomie. Toteż jesienią 1918 roku inżynier Leon Nowotarski, obejmujący we władanie uzdrowisko krynickie, tak oto jedynie mógł skonstatować oplakany stan swego nowego gospodarstwa:

Istne bankructwo! W kasie halerza nie ma i nie ma widoków jakichkolwiek zasiłków. Dotąd opędzam drobne roboty pożyczanymi pieniędzmi, ale dalej pożyczać nie mogę. Wiele ważnych robót, jak przygotowanie drzewa opałowego i borowiny musi być odłożonych, a o ile się sprawy zaniedba, sezonu nie będzie!

Dla Krynicy, której urządzenia uzdrowiskowe były wówczas w znacznym stopniu zdezastrowane, te ostatnie słowa brzmiały jak wyrok lub zapowiedź apokalipsy. A jednak do tego nie doszło i zdroje tutejsze rychło zaczęły przyciągać coraz liczniejszych amatorów wypoczynku i poprawy stanu zdrowia. Nie należy jednak zapominać o tym, że Polskę, wybijającą się na niepodległość w listopadowe dni owego 1918 roku, czekały jeszcze krwawe zmagania, których kresem był dopiero Traktat pokoju między Polską a Rosją i Ukrainą, podpisany w Rydze 18 marca 1921 r., stanowiący ostatni akt zarówno walki o granice Odrodzonej Rzeczypospolitej, jak i wojny polsko-bolszewickiej. Nim jednak do tego doszło, kraj musiał przetrwać prawdziwy potop zmagañ orężnych, praktycznie ze wszystkimi niemal sąsiadami (poza Rumunią).

Symbolicznym i zarazem realnym początkiem tych bojów była obrona Lwowa. 1 XI 1918 r., a więc dziewięćdziesiąt lat temu, tym polskim miastem zawładnęli Ukraińcy. Choć wiele sygnałów politycznych, a potem i danych wywiadowczych, zapowiadało to wydarzenie, to jednak tajne organizacje wojskowe nie zdołały podjąć uprzedzającego uderzenia. Potem, w zaistniałej sytuacji, stojąc naprzeciw regularnego wojska, lwowiacy, w tym młodzież, a nawet dzieci – słynne lwowskie Orleća – zdołali obronić swe miasto, walcząc jak równi z równymi z napastnikami, dysponującymi pełnym ówczesnym uzbrojeniem i wyszkolonym żołnierzem. Nie bez walnego udziału „geniuszu improwizacji” w odbitej części grodu nad Pełtwią powstało sprawnie działające zaplecze „lwowskiej armii”, z czasem dysponującej własną kawalerią, lotnictwem i artylerią, choć ta pierwszy strzał oddała pociskiem owiniętym w szmaty, bowiem amunicja nie odpowiadała

kalibrowi działa. Obrona Lwowa była natchnieniem dla całego kraju, który od czasu Księstwa Warszawskiego, czyli epoki napoleońskiej, nie zaznał wolności, a teraz właśnie po nią sięgał. Pośród „lwowskich dzieci”, walczących o polski Lwów, był wówczas i mój dziadek, doktor praw i porucznik legionowy, Bolesław Herbert, przyszły ojciec poety, Zbigniewa.

Oczywiście, zasygnalizowane wyżej wydarzenia wzmogły jeszcze dumę Lwowian, którzy i tak byli powszechnie znani z miłości do swego miasta. Ich uczucia i postawę dobrze obrazuje anonimowa piosenka, która zresztą poświęcona była nie jakimś porywom ducha, lecz warzonemu w ich grodzie piwu:

*Bardzo wszyscy dziś kochają nasze piękne miasto Lwów,
I dla Lwowa zawsze mają podziwienia milion słów.
Co ze Lwowa to wspaniałe, cała Polska to dziś zna..., itd.*

W tym nieco być może zaskakującym dla Czytelnika miejscu dotykamy istoty genyzy zjawiska, stanowiącego główną kanwę naszej opowieści. Bowiem pensjonat, potem będący sanatorium, o dumnej nazwie „Lwigród”, wzniesiony w Krynicy w latach dwudziestych ubiegłego wieku, w istocie był żywą egzemplifikacją właśnie tego zadziornego lwowskiego fasonu.

Nim jednak przejdziemy do konkretów, zatrzymajmy się jeszcze na chwilę, by poznać inwestora, który miał się podjąć owego ambitnego dzieła. Był nim Zakład Pensyjny Urzędników Prywatnych, który miał swą centralę oczywiście we Lwowie. Powstał on w dobie, kiedy w Galicji zapanowała autonomia, a rodzimej przedsiębiorczości nie krępowały już władze zaborcze, do tej pory prześladowające każdą niezależną myśl, nie gorzej niż to czyniono za kordonem rosyjskim czy pruskim. Na domiar złego polityka gospodarcza, a raczej łupieżcza, monarchii habsburskiej skazywała tę prowincję na kompletny zastój i chroniczny niedorozwój, z czego wynikała przysłowiowa nędza galicyjska. Wraz z okresem rozbudowanego samorządu przyszedł czas na odrabianie owych zaległości. Jedną z istotnych inicjatyw było rozwijanie w miarę nowoczesnego systemu ubezpieczeniowego i właśnie przejawem tego było powstanie w roku 1867 wspomnianego Zakładu Pensyjnego Urzędników Prywatnych, potem noszącego nazwę Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń Urzędników Prywatnych. Była to pierwsza organizacja samopomocowa, niosąca swym członkom pomoc doraźną lub stałą „w chorobie, na wypadek braku posady, w wypadkach niezdolności do pracy, na starość oraz dla wdów i sierot”. W roku 1904 stało się ono towarzystwem ubezpieczeniowym z prawdziwego zdarzenia, a od 1909 – „ustawowym zakładem emerytalnym zastępczym”, a więc prowadzącym również ubezpieczenia obowiązkowe. Fakt ten przyczynił się do rozwoju całego przedsięwzięcia. Już w roku 1906 Towarzystwo skupiało przeszło dwa tysiące ubezpieczonych. Lokowało pieniądze w różnego rodzaju instytucjach i to nie tylko finansowych, ale też na przykład przed I wojną światową należał doń najbardziej bodaj znany lwowski Hotel George’a. W latach 1914–1918, mimo skrajnie trudnych warunków i czasowego przeniesienia centrali do Wiednia, Towarzystwo nie tylko nie zawiesiło działalności, ale nawet prowadziło ją w okupowanym przez Rosjan Lwowie.

Pomne swej społecznej roli, nie szczędziło grosza na pomoc ofiarom wojny, wydając na to znaczne sumy, choć przecież militarne zmagania przyczyniały się do wzrostu liczby osób ubiegających się o renty i odszkodowania.

Była to cecha charakterystyczna przedsięwzięć, zdawałoby się czysto komercyjnych, które zostały stworzone jako instytucje społeczne w okresie porozbiorowym. Pomimo wszelkich przeobrażeń, jakim podlegały przez lata od chwili powstania, a czasem – jak w omawianym przypadku – zajęcia przez nie wcale eksponowanej pozycji rynkowej, jednak nigdy nie zapomniano, iż powołano je do życia nie jedynie dla wypracowywania zysku, ale również dla podniesienia kraju z upadku i krzewienia w nim cywilizacyjnych wzorców, mogących być natchnieniem dla innych działaczy gospodarczych czy społecznych. Duch ów bynajmniej nie zamarł w okresie międzywojennym. Toteż nikogo nie może dziwić następująca opinia:

Zakład Pensyjny, na którego czele stoi minister Stesłowicz¹, pod znakomitem a sprężystem kierownictwem dyrektora Józefa Zawadowskiego rozwija się bardzo pomyślnie, spełniając, poza obowiązkiem statutowym, ważne społeczne zadania. Obecnie przyczynia się wydatnie do podniesienia naszych uzdrowisk i ożywienia ruchu budowlanego, na które łoży fundusze. Zakład posiada już dziś pierwszorzędne pensjonaty w Zakopanem i w Truskawcu, a obecnie przystępuje do budowy pensjonatu w Krynicy. Poza tem rozpoczyna budowę domów czynszowych o małych mieszkaniach we Lwowie i Krakowie, na ukończeniu zaś są takie domy w Bielsku i w Białej. Zakład utworzył dla tych celów komitety budowy, w których zupełnie bezinteresownie poświęcają dla dobra publicznego swą owocną pracę p.p. inż. Gilowski, nac. Lang, dyr. Majewski, dyr. Padlewski i dyr. Zawadzki. Doradcą technicznym zamianowano zaszczytnie znanego prof. [Dionizego] Krzyczkowskiego.

Cytat ów, zaczerpnięty z podsumowania konkursu architektonicznego na projekt pensjonatu w Krynicy, któremu inicjatorzy całego przedsięwzięcia dopiero mieli nadać drogie ich sercom imię miasta *semper fidelis*, mówi sam za siebie i nawiązuje do szczytnych ideałów polskiego pozytywizmu, pracy u podstaw i służby społecznej.

Notabene, organizację konkursu powierzono wówczas Kołu Architektów Polskich we Lwowie. W środowisku tym zdecydowano się dopuścić doń jedynie kolegów z Małopolski i – ku ogólnemu zaskoczeniu – napłynęło wówczas aż czterdzieści prac, a poziom tej zaszczytnej rywalizacji okazał się niezwykle wysoki. Sprawilo to, że wspomniane stowarzyszenie twórcze zwróciło się do inwestora o dofinansowanie wystawy pokonkursowej i opublikowanie nadesłanych prac, na co ów przystał – oczywiście *pro publico bono*. Ostatecznie, w pierwszej połowie 1926 roku przyznano aż trzy pierwsze nagrody, a wszystkie one – jakżeby inaczej – przypadły lwowianom. Poza tym dano jeszcze dwie drugie nagrody i jedną trzecią. Prawdopodobnie właśnie z tego powodu powstało pewne zamieszanie informacyjne, bowiem choć najczęściej jako głównego projektanta „Lwigrodu” wymienia się profesora Politechniki Lwowskiej, Eugeniusza Czerwińskiego, związanego z pracownią Alfreda Zacharjewicza, znakomitego przedstawiciela „dynastii

¹ Władysław Stesłowicz (1867–1940), prawnik, działacz społeczny i gospodarczy; w 1918 r. komisarz rządu we Lwowie; w latach 1919–1922 – minister poczt i telegrafów; potem zasiadający we władzach wielu przedsiębiorstw i organizacji.

lwowskich architektów”, to np. w *Atlasie zabytków architektury w Polsce* (Warszawa 2001) dzieło owo przypisano Witoldowi Minkiewiczowi, profesorowi tejże uczelni i jej późniejszemu rektorowi. Nie czując się powołanym do rozwiązywania tej kontrowersji, pragnę jedynie zauważyć, że wraz z rozstrzygnięciem wspomnianego konkursu zapadła decyzja o zakupie aż sześciu nadesłanych prac. Można sądzić, iż należy to potraktować jako istotną wskazówkę co do wyboru ostatecznego projektu. Tymczasem spośród zakupionych prac, a równocześnie wyróżnionych jedną z pierwszych nagród, znalazła się tylko ta, autorstwa Czerwińskiego. Być może myląca okazała się numeracja, bowiem projekt Minkiewicza opatrzony został symbolem I-A, zaś Czerwińskiego – I-B, co bynajmniej nie musiało być wskazaniem jakiejś preferencji, czy wyboru do realizacji.

Tak czy owak, doprowadzona do końca już w roku 1928 budowa pensjonatu przyniosła rezultat zgoła imponujący. Powstał bowiem naprawdę wielki obiekt „o charakterze renesansowo-klasycystycznym”, choć – moim zdaniem – ta klasyfikacja stylistyczna jest nieco przesadna. W istocie natomiast „Lwigród” miał cechy dość charakterystyczne dla prac Czerwińskiego z tego okresu. Tak m.in. opisywał je Taras Łypka:

W swojej twórczości E. Czerwiński był doskonałym przedstawicielem lwowskiej szkoły architektonicznej z właściwym jej racjonalizmem. Mistrzowsko władając formami architektonicznymi i zasadami kompozycji, miał skłonność do nowatorskiego ich traktowania. Stał się sławnym w szerokich kołach architektów ówczesnej Polski, dzięki rezultatom konkursu na projekt zespołu zabudowań Sejmu Śląskiego i Województwa Śląskiego w Katowicach, ogłoszonego w roku 1922. W konkursie brali udział wybitni architekci z całego kraju, i otrzymanie drugiej nagrody za projekt, wykonany przez E. Czerwińskiego we współpracy z Marianem Nikodymowiczem, w którym młodzi lwowscy architekci udatnie zastosowali modernistyczne formy późnego klasycyzmu, stało się prawdziwą sensacją.

Poza tym całość krynickiej budowli zwracała uwagę monumentalną posturą, która wszakże nie kontrastowała w jakiś przykry sposób z otoczeniem, choć bardzo wyraźnie je trwale zdominowała. Kiedy patrzymy na zdjęcia lotnicze z lat 30. ubiegłego wieku, to w tej części Krynicy, a miała być ona nową dzielnicą uzdrowiskową, właściwie trudno skupić wzrok na jakiegokolwiek innej budowlu. Natomiast analizując pocztówki z okresu międzywojennego, wyraźnie można dostrzec, że administratorzy gmachu bardzo dbali o jego otoczenie, by mogło się stać terenem bliskich spacerów, wygodnego odpoczynku, pomimo sąsiedztwa sporej bryły budynku. Alejki zostały wytyczone tak, że tworzyły geometryczny wzór, stanowiący dodatkową ozdobę całości założenia.

Można by więc rzec, że lwowscy inwestorzy potraktowali „Lwigród” jako prestiżową budowę, mającą służyć propagandzie świetności ich miasta w „perle uzdrowisk polskich”, ściągającej tu licznych znakomitych gości z kraju i zagranicy. Równocześnie był on manifestacją, głoszącą nadejście nowej epoki związanej z niepodległością Polski. Jeśliby nawet do tej pory owa teza nie została w pełni udowodniona, to wszelkie wątpliwości w tym względzie powinny rozwiać uwagi na temat wnętrza gmachu. Zacznijmy od najbanalniejszych konstatacji. „Lwigród” mógł przyjąć 200 gości w pokojach jedno- i dwuosobowych, posiadał salę restauracyjną, kawiarnię, czytelnię, gabinet lekarski, łaźienki mineralne, zakład fryzjerski. Do dziś pośród stałych mieszkańców Krynicy krąży

wieści o „luksusach”, jakie czekały na kuracjuszy i letników w tym przybytku uciech wczasowych. Generalnie trąca one przesadą, bowiem w istocie, mimo pragnienia nadania nowej inwestycji jak najbardziej prestiżowego kształtu, kierujący lwowską spółką ludzie byli jednak nazbyt pragmatyczni, by popaść w daleko idącą przesadę, a ich „kupieckie” poczucie odpowiedzialności za losy ubezpieczonych było aż nadto skutecznym wędzidłem dla wybujałych ambicji. Dość powiedzieć, że mimo wszystko znaczna część pokoi była jednak pozbawiona własnych, odrębnych łazienek, a ów stan dotrwał do czasu ostatniej rekonstrukcji, o której będzie jeszcze mowa. Nie odbierało to pensjonatowi splendoru, bowiem takie wówczas były standardy. Natomiast uczyniono bardzo wiele, by goście czuli się tam wyjątkowo komfortowo. Przede wszystkim zapewniała to niezwykle staranna obsługa i typowo kresowa gościnność, której symbolem było dostarczanie korespondencji do stolików pensjonariuszy w czasie trzech głównych posiłków.



„Lwigród” – pocztówka z początku lat 30. Na pierwszym planie okrągła jadalnia/sala balowa.

Jednak ducha nadawał temu miejscu przede wszystkim wystrój. Jego zasadniczym elementem była dekoracja malarska. Przyozdobienie „Lwigrodu” pod tym względem powierzono dwóm wybitnym malarzom ze Lwowa: Kazimierzowi Sichulskiemu (1879–1942) i Feliksowi Michałowi Wygrzywalskiemu (1875–1944[5]). Obaj artyści byli więc niemal rówieśnikami, lecz choć i poza tym wiele ich łączyło, to również dzieliło bardzo dużo. Obaj mieli powiązania z secesją, a ich aktywność twórcza nie ograniczała się jedynie do malarstwa, bowiem byli także zawałanymi grafikami (np. Sichulski należał do najznakomitszych karykaturzystów epoki, a Wygrzywalski do wziętych ilustratorów, od czego

zresztą nie stronił jego kolega po pędzlu). Starszy z nich miał spore dokonania w dziedzinie scenografii, zaś młodszy związany był ze słynnym młodopolskim kabaretem literackim „Zielony Balonik”, któremu służył dzielnie swym talentem (m.in. jako projektant lalek do szopek). Obaj też mieli znaczne zasługi w sferze sztuki zdobniczej, co było zgodne z duchem epoki. Zwłaszcza Wygrzywalski często używał swego talentu, by uzupełniać dzieła architektoniczne, także poprzez wklejanie we wnętrzach partii malowanych na płótnie na stropie, czy pomiędzy pilastrami. Sichulskiemu także zdarzało się tworzyć freski. Obaj panowie byli wykładowcami lwowskich szkół artystycznych, choć nie akademii sztuki. Sami posiadali dość gruntowne wykształcenie malarskie, jednak było ono zasadniczo różnej proweniencji, co pozostawiło istotny ślad w ich twórczości. Sichulski swe artystyczne ostrogi zdobył w Krakowie pod kierunkiem Leona Wyczółkowskiego, Józefa Mehoffera i Stanisława Wyspiańskiego, a w swych podróżach i studiach zahaczył także o Wiedeń, Monachium, Paryż, Drezno, Rzym, Wenecję i Florencję. Jeszcze przed I wojną światową zafascynował się Huculszczyzną, co dla młodopolan było czymś zupełnie naturalnym. Natomiast czynienie zeń głównie piewcy takich motywów uważam za tyleż krzywdzące, co nieodpowiadające bogactwu jego talentu. Wygrzywalski natomiast był przede wszystkim wychowankiem akademii monachijskiej, a studia owe uzupełniał w Paryżu i Włoszech. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy jego kolega uległ urokowi świata karpaccich gór, on odbył podróż do Egiptu, co zaowocowało licznymi płótnami o tematyce orientalnej.

Kiedy wybór patronów „Lwigrodu” padł na tych artystów, obaj byli już cenionymi twórcami lwowskimi, średniego co najmniej pokolenia, którzy gwarantowali sobą nie tylko wysoki poziom artystyczny, ale i podporządkowanie się celowi głównemu, którym miało być przyozdobienie pensjonatu. W przypadku Sichulskiego za jego osobą przemawiał jeszcze jeden fakt, był on bowiem autorem tryptyku *Obrona Lwowa*, powstałego jeszcze w 1920 roku, kiedy losy całego kraju się ważyły. Z oczywistych względów, o których pisałem, animatorzy budowy „Lwigrodu” pragnęli pozyskać to dzieło dla swego pensjonatu i istotnie witało ono gości już w hallu. Niestety, nie są mi znane reprodukcje, które pozwoliłyby mi wyrobić sobie zdanie na temat owego tryptyku. Toteż poprzestaną na zachęcie, jaką umieścił w latach 30. Stanisław Wasylewski w książce *Lwów*, wydanej w serii *Cuda Polski*:

Do Krynicy aż trzeba pojechać i zająć do pensjonatu „Lwigród”, aby zobaczyć artystyczną realizację obrony Lwowa. Stworzył ją Kazimierz Sichulski, szczęśliwie i wspólnie uwieczniwszy olejno chwilę obrony miasta przez młodzież.

Dla nadania tej pochwalie znaczenia wypada dodać, że po ów temat sięgali wówczas najznakomitsi polscy bataliści, że wymienię tu tylko Wojciecha Kossaka i Stanisława Kaczora Batowskiego.

Natomiast trzeba też przyznać, że powierzenie prac malarskich Sichulskiemu i Wygrzywalskiemu było jednak aktem odwagi, przynajmniej z pewnego punktu widzenia. Byli to bowiem artyści hołdujący dość różnym manierom. Na pierwszym z wymienionych znacznie silniejsze piętno wycisnął modernizm, zaś drugi raczej nie oddalał się

od kanonów sztuki akademickiej. Zważywszy jednak, że gmach „Lwigrodu” był ogromny, taka konfrontacja talentów i konwencji raczej mogła okazać się płodna, a równocześnie zdawała pozwalać na stworzenie przestrzeni, w których dobrze mogli się czuć zwolennicy różnych kierunków w sztuce i przeciwstawnych zgoła estetyk. Obaj malarze podjęli się stworzenia całych cykli obrazów o spójnej tematyce, rozwiązaniach kompozycyjnych i kolorystycznych.

Trzeba też przyznać, że większe zainteresowanie wzbudziły prace Sichulskiego, dość często reprodukowane, aczkolwiek niemal zawsze w czarno-białej wersji, co znacznie ograniczało możliwość poznania ich zalet. Artysta stworzył – jako się rzekło – cykl sześciu wielkich płócien o wymiarach ok. 3,2 m na ok. 1 m., które poświęcił dość swobodnie potraktowanej tematyce mitologicznej i zatytułował: *Zakochani*; *Wenus i Amor*; *Centaur*; *Grający faun*; *Wenus z satyrem*; *Pejzaż z nimfą*. Zdobiły one monumentalną centralną klatkę schodową, stanowiąc tyleż królewską oprawę dla każdorazowego powitania gości, co i stwarzając swobodny nastrój, sprzyjający odpoczynkowi. Zasadnicze sceny, stanowiące temat tych obrazów, w istocie zajmują tylko niewielką część powierzchni płócien. Zostały niejako zanurzone pośród bogatego tła roślinnego, stwarzającego klimat łąki arkadyjski. Przy tym autor użył bardzo ciekawego rozwiązania formalnego, a mianowicie w górnej i środkowej części dzieł fantastyczny świat roślinny został potraktowany dekoracyjnie i nie w pełni realistycznie, ale w dolnych partiach uległ on już całkowitemu odrealnieniu, stając się praktycznie ornamentem mocno schematycznym.



Hall (zwany „poczekalnią”) w „Lwigrodzie”, ozdobiony płótnami Sichulskiego.
Fotografia z tygodnika „Światowid” nr 4, r. 1929.

Wygrzywalskiemu natomiast poruczono przyozdobienie sali dancingowej, w której najwyraźniej królować miały zajęcia wieczorne, może nie tyle zdrowotnej natury – przynajmniej jeśli chodzi o cielesny jej wymiar – ale bez wątpienia krzepiącej radość istnienia. Z tym też wiązała się tematyka cyklu złożonego z czternastu obrazów, które zostały

poświęcone historii tańca. W tym wypadku wymiary były ściślej przestrzegane, płótna miały 2,71 m na 1,18 m, bowiem zajmowały przestrzenie międzyokienne półokrągłej, nieco amfiteatralnej sali, prawdopodobnie położonej na pierwszym piętrze, podtrzymującym wielką werandę u zakończenia dłuższego skrzydła gmachu. Poszczególne obrazy cyklu przedstawiały: *Walc*; *Kuszenie*; *Mazura*; *Krakowiaka*; *Poloneza*; *Menueta*; *Polkę*; *Bluesa*; *Tango*; *Ojra, Ojra* [taniec apaszowski]; *Taniec góralski*; *Charlstona*; *Taniec bez muzyki*; *Taniec klasyczny*. Również one posiadały jednolitą kompozycję, gdyż na wszystkich na złocistym tle w górnej partii dzieła przedstawiona była tańcząca para, a w dolnej para przygrywających jej grajków – muzyków, oczywiście poza *Tańcem bez muzyki*, któremu towarzyszył Pierrot i półnaga dziewczyna, oraz atrybuty w postaci butelek po szampanie i baloników, niepozostawiające żadnych złudzeń co do charakteru „kuracji” serwowanej w balowej sali. Postacie zostały potraktowane realistycznie, a ich kostiumy i charaktery ściśle dopasowane do tematu głównego wyobrażenia. Tak więc oba cykle z „Lwigródu” były dość różne stylistycznie, ale też niejedno je łączyło. Do powyższych uwag wypada dodać, że malarzom bardzo wyraźnie chodziło przede wszystkim o uzyskanie efektu strojnej dekoracji, a ów cel został w pełni osiągnięty i to wyraźnie w ścisłym powiązaniu z wnętrzami, które opisywane dzieła miały ozdabiać.



Sala jadalna z gośćmi. Na ścianach widoczne obrazy Feliksa M. Wyrzywalskiego (pocztówka)

Nie ma co ukrywać, że płótna Sichulskiego były znacznie nowocześniejsze i oryginalniejsze, jednak z dziełami Wyrzywalskiego łączyła się dodatkowa wartość historyczna. Otóż u ich podnóża wychował się jeden z największych polskich poetów, a mianowicie Zbigniew Herbert. Jego ojciec, a mój dziadek, wspomniany tu już Bolesław Herbert, był prawnikiem, działaczem gospodarczym, kierującym jednym ze spółdzielczych banków we Lwowie, ale również poświęcającym wiele czasu działalności na rzecz spółdzielczości w skali regionalnej, a w latach 30. i ogólnopolskiej. Na dwa lata przed drugą wojną światową podjął się także kierowania lwowskim oddziałem spółki asekuracyjnej „Vesta”.

Pomimo licznych obowiązków potrafił przy tym pielegnować liczne zainteresowania, w tym właśnie sztuką, oraz wprowadzać w nie swe dzieci. Konsekwencją tego było kupowanie przezeń obrazów, co zresztą było wówczas czymś całkowicie normalnym dla inteligenta o ustabilizowanych i niezłych dochodach. Na przechadzki po galeriach i pracowniach artystów niejednokrotnie zabierał też swoje pociechy. Można założyć, że odwiedzał także pracownię Wygrzywalskiego, bowiem posiadał kilka jego obrazów, w tym parę (5 lub 6) właśnie z opisywanego powyżej cyklu *Historia tańca*. Ściślej rzecz ujmując, były to studia wstępne do owych dzieł, które zawisły w „Lwigródzie”. Przedstawiały one wyłącznie tańczące pary na złotym tle, w nieco mniejszej niż ostateczna skala. Co ciekawe, kiedy rodzina Herbertów opuszczała Lwów w marcu 1944 roku, także te obrazy zostały przez nich wyjęte z ram, zdjęte z blejtramów i zrolowane w zwartą paczkę, która towarzyszyła wygnańcom na drogach ich exodusu, aż do miejsca stałego osiedlenia rodziców Poety w Sopocie. Tam, w czasie wakacji, i ja bawiłem się czasem u ich stóp, jako że wisiały w pokoju mego dziadka. Po jego śmierci i powrocie syna ze Stanów Zjednoczonych na początku lat 70., władze komunistyczne bardzo utrudniały Zbigniewowi Herbertowi zakup mieszkania, zapewne licząc na wymuszoną emigrację pisarza. Ostatecznie jednym z warunków, jakie mu postawiono, było zabranie do siebie matki i likwidacja resztek jej sopockiej siedziby, w której już od dawna żyli także sublokatorzy. Wspomniane wyżej obrazy właśnie wówczas zaginęły. Sam asystowałem przy pakowaniu ich do samochodu, powracającego po przywiezieniu ze stolicy ekspozycji dla Biura Wystaw Artystycznych, i wówczas widziałem je po raz ostatni, a żadnych sensownych wyjaśnień co do dalszych ich losów nie udało mi się później uzyskać. Poniżej opowieść ta jest ciekawostką historyczną, ale i symbolicznym memento dla dzieł Wygrzywalskiego i Sichulskiego, o których tu mowa.



Pocztówka przedstawiająca wszystkie płótna Wygrzywalskiego, zdobiące ściany w „Lwigródzie”

Jednak w okresie międzywojennym nic nie wydawało się im zagrażać. „Lwigród” był ciągle ozdobą i dumą Krynicy, a żaden miejscowy zakład kuracyjny czy hotelowy nie mógł się z nim równać. Co prawda po pewnym czasie postanowiono zmienić nieco jego charakter, uznając, że formuła pensjonatu nie do końca pasuje do celów, jakie przyświecały ogólnej działalności inwestorów, zwłaszcza iż do przedsięwzięcia dołożyła się też lwowska Kasa Chorych. Po kilkuletniej adaptacji, w efekcie której nieznacznie zmieniła się liczba miejsc (wzrosła do 220), w roku 1934 ponownie otwarto „Lwigród” już jako sanatorium Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, który właśnie wówczas na mocy ustawy przejął aktywa i nieruchomości lwowskiego Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń Urzędników Prywatnych, podobnie jak i innych instytucji regionalnych tego typu. Należy przy tym podkreślić, że w najmniejszej mierze nie łączyło się to z degradacją „Lwigrodu”. Nadal pozostał on klejnotem pierwszej wielkości w krynickiej koronie. Teraz dodatkowo się wyróżniał wysokim standardem wyposażenia kuracyjno-leczniczego, jedyną wówczas w Krynicy i bardzo nowoczesną salą operacyjną oraz stałą opieką lekarską, w tym wielu specjalistów, także kardiologa i ginekologa.



Sala jadalna w „Lwigrodzie”. Fotografia z tygodnika „Światowid” nr 4 (233), rok VI (1929).
Był to specjalny numer poświęcony Krynicy

Notabene, w drugiej połowie lat 30. matka Zbigniewa Herberta, Maria, spędziła jakiś czas w Krynicy dla podratowania zdrowia po komplikacjach, jakie wywiązały się po urodzeniu przez nią młodszego braciszka przyszłego Poety, Januszka. Dodać tylko wypada, że właśnie zdecydowanie w tym czasie tutejsze uzdrowisko zaczęło zdobywać renomę jako ośrodek leczenia chorób kobiecych. Niestety nie dysponuję danymi, gdzie wówczas moja Babcia mieszkała, ale bynajmniej nie wykluczałbym „Lwigrodu”, a to z racji jej – nawet jak na lwowskie stosunki – niebywale silnego patriotyzmu lokalnego i głębokiego przywiązania do rodzinnego miasta.



Maria Herbertowa – Babcia autora – karmiąca krynickie pawie
(ze zbiorów autora)

Okupacja podczas II wojny światowej oznaczała dla Krynicy obrócenie całego uzdrowiska na zaspokajanie potrzeb ludności niemieckiej, a zwłaszcza armii III Rzeszy. Tutejsze uroki – szczególnie zimowych szaleństw – ukazywały ówczesne pocztówki, których całe serie prezentowały, jak i gdzie wywczasów zażywają „zdobywcy przestrzeni życiowej na Wschodzie”. Równocześnie wyposażenie uzdrowiska zostało niemiłosiernie wyeksploatowane. „Lwigród” zaś najpierw stał się szpitalem i sanatorium wojskowym, a w końcowej fazie wojny kwatrowali w nim robotnicy zatrudnieni przy pracach ziemnych. Była w tym zapowiedź dalszych losów tego obiektu. Zaraz też na początku tego niewesołego okresu swych dziejów utracił jeden z głównych elementów swego *decorum*. Dokładnie pewnie nie wiadomo kiedy, choć można się spotkać z opinią, że miało to miejsce w roku 1940, zniknęła *Obrona Lwowa* pędzla Sichulskiego. Jednak skłonny jestem przypuszczać, że w istocie stało się to jeszcze wcześniej. Wszak w Polsce z ukrywaniem zabytków związanych z tradycjami patriotycznymi raczej nie czekano do czasu, kiedy się nimi zainteresuje okupant. Najbardziej znana jest pod tym względem wojenna epopeja *Grunwaldu* Jana Matejki. Nie mamy powodu podejrzewać, by inne motywy kierowały ludźmi, którzy zdjeli płótna Sichulskiego ze ścian wielkiego hallu w „Lwigródzie”. Zapewne także obywatelska troska nie pozwoliła na ujawnienie i oddanie społeczeństwu tego dzieła w okresie stalinowskim, bowiem wówczas można było trafić w łapy UB li tylko za rzewne wspomnienia o Lwowie, snute w knajpie przy piwie. Im jednak dalej w głąb dziejów PRL-u, tym większe rodzą się wątpliwości, co do racjonalności ukrywania ważnego zabytku. Dziś można już tylko mówić o nieuczciwości i zaborze dobra narodowego, chyba, że sytuację oceniam z gruntu fałszywie i *Obrona Lwowa* w istocie trafiła do tak dobrze zakonspirowanego schowka, którego strażnicy

umarli, nie wyjawiając zawnazasu tajemnicy, iż do dnia dzisiejszego oczekuje na odnalezienie. Nie jest to jednak bynajmniej konstatacja optymistyczna, bowiem „zamelinowane” płótna muszają być skrajnie zagrożone bezpowrotnym zniszczeniem lub wręcz już mu uległy. Warto jednak zaapelować o przeprowadzenie akcji poszukiwawczej, a wszelkie informacje na ów temat byłyby nie tylko interesujące, ale też mogłyby się przyczynić do ocalenia niezwykle istotnej wartości, której wymiar materialny bynajmniej nie jest pierwszej wagi.

Niestety, te całkiem oczywiste i banalne stwierdzenia nie dla wszystkich są „imperatywem kategorycznym”, nakazem płynącym z poczucia obywatelskiego i potrzeby serca. Aż nadto dobitnie świadczą o tym dalsze losy samego „Lwigródu” i jego *decorum*. Po zniszczeniach i dewastacji z okresu okupacji niemieckiej gmach nie nadawał się do dalszego użytku i musiał zostać poddany remontowi. Ponownie trzeba go było wyposażyć w urządzenia medyczne. Ostatecznie zaczął więc pełnić funkcje sanatoryjne dopiero w 1947 roku, jako placówka Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Potem przeszedł pod zarząd Uzdrowiska Krynica-Żegiestów, stając się jego szpitalem. Posiadał m.in. specjalistyczne oddziały: diabetologiczny, gastrologiczny, urologiczny i ginekologiczny. Z czasem ośrodek ten zyskał niezłą renomę w polskim świecie medycznym, również za sprawą prowadzonych w nim prac naukowych. Niestety, trudno byłoby powiedzieć, że dla „Lwigródu” nadeszły lepsze czasy, bowiem za jego użyteczność władze uzdrowiska i wszelkie inne nie odpłacały się należyłą dbałością o ów obiekt, co prawda niezbyt stary, ale jednak posiadający wartość zabytkową. Od czasu do czasu podejmowano jakieś działania remontowe, które wszakże przypominały cerowanie znoszonej koszuli. Wreszcie niegdyś pyszny, luksusowy gmach został wyeksploatowany do cna. Nie był to przypadek bynajmniej odosobniony w naszym kraju, ale można go uznać za dość spektakularny, bowiem „Lwigród” położony jest w centrum bardzo ruchliwego uzdrowiska, a więc jego degradacja nie była czymś trudnym do zauważenia. Do jego zamknięcia doszło ostatecznie w 1980 roku.

Miał ruszyć remont i generalna modernizacja wysłużonego sanatorium. Jednym z głównych zamierzeń w tym dziele miało być wyposażenie wszystkich pokoiów w łazienki. W sumie niby nic wielkiego, bo – w porównaniu z budową piramid – wstawienie ścianek działowych i poprowadzenie rur wewnątrz stojącego już gmachu nie wydawało się jakimś przedsięwzięciem ponad miarę końca XX wieku. Jednak można by pomyśleć, że nad zrodzonym z entuzjazmu i dumy lwowiaków sanatorium najwyraźniej zaczęła ciążyć jakaś kłątwa. Przypomnijmy, że w latach 20. ubiegłego stulecia od przeprowadzenia konkursu architektonicznego do otwarcia jego podwoi nie minęły trzy lata. Tymczasem do 1989 roku, czyli w ciągu blisko dekady, została w całości wymieniona instalacja budynku, przeprowadzono remont elewacji, tarasu i wymieniono dach. W tym też roku przerwano prace remontowe z powodu braku finansów. Sprawa ślimaczyła się w sposób wręcz okrutny. Spotykałem nawet informacje o tym, że w owym okresie można było ów gmach zwiedzać, choć właściwie był on zamknięty. Tak więc byli chętni do takich eksploracji i zapewne wykazywali oni więcej zrozumienia dla wartości zabytkowych

„Lwigrodu”, niż różnej maści decydenci. Tymczasem ogłaszano nowe przetargi i podejmowano prace, które po jakimś czasie zamierały. Na przełomie wieków i tysiącleci były one prowadzone dzięki dotacjom Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, które nie zostały dostatecznie wsparte lokalnymi inicjatywami. Wówczas, czyli w roku 1998, kosztorys całej rekonstrukcji opiewał na 19,9 mln złotych, ale w 2002 roku obiekt nadal nie był użytkowany, choć wzbogacił się o nową instalację elektryczną, przyzywową, telewizyjną, przeciwpożarową oraz kotłownię gazową. Kiedy więc władarze służby zdrowia wstrzymali dalsze dotacje, do zamknięcia całości prac brakowało nadal – bagatela – ok. 17,8 mln zł, a według raportu Najwyższej Izby Kontroli można było w tym wypadku mówić o „książkowym przykładzie wyrzucania pieniędzy w błoto”. Notabene, odpowiedzialnością za to obciążono wówczas decydentów warszawskich, a nie Zarząd Uzdrowiska, choć i takie wnioski próbowano formułować.



Wyobrażenia różnych tańców na obrazach Wygryzalskiego (fragmenty pocztówki)

W tej sytuacji, po kolejnych latach zastoju, w roku 2005 „Lwigród” zmienił właściciela, a związani z nim autorzy notatek reklamowych z dumą informowali, że:

(...) wkrótce powraca na rynek turystyczny. Aktualnie w ośrodku trwa gruntowny remont, który przywróci obiektowi przedwojenną świetność. Nowy właściciel szczególnie dba o zachowanie historycznego klimatu obiektu, poddając renowacji zachowane przedwojenne elementy wystroju.

Wieści owe jednak nie odpowiadały prawdzie, o czym dobitnie świadczyły losy obrazów, stanowiących główne *decorum* świetnego niegdyś gmachu. Już pod koniec lat 70. ubiegłego wieku zostały one zdjęte ze ścian i powędrowały do magazynu Zarządu Uzdrawiska. Poddano je konserwacji, choć ta chyba nie została doprowadzona do końca, bowiem na niektórych płótnach widnieją wyraźnie podklejenia. Następnie w latach 1997–1998 dokonano kradzieży (...). Po dorobieniu kluczy i wcześniejszym sfotografowaniu kilku obrazów Sichulskiego i Wygrzywalskiego, próbowano je zaferować, a potem sprzedać na rynku antykwarycznym w Krakowie. Wielkie rozmiary ochroniły dzieła, bowiem trudno było dla tak dużych obiektów znaleźć nabywcę. Szczęśliwie więc kolekcja została ponownie skompletowana. Niewielka jej część była wówczas „eksponowana” w wielkiej sali Starego Domu Zdrojowego. Jednak określenie owo należy traktować nieco na wyrost, bowiem sam wówczas musiałem się niezłe nabiedzić, by wraz z żoną móc obejrzeć te obrazy w spokoju, a nie podczas koncertu. Nie wiedziałem, że i tak był to przejaw jako tako pojętej dbałości o owe zabytki.



Jedno z płócien Wygrzywalskiego. Fotografia została wykonana przez autora w czasie pobytu w Krynicy, kiedy obrazy były wyeksponowane w Starym Domu Zdrojowym (1998 r.)

Czy jednak wspomniana kolekcja pozostanie zwartą całością w przyszłości – tego nie wiadomo, bowiem o dziwo inwestor prywatny nie zakupił jej wraz gmachem „Lwigródu” (...). Dla mnie osobiście jest to prawdziwa zagadka. W toku negocjacji pewnie mógł je dostać za darmo lub za symboliczną sumę. Bez tych płócien mowa o nawiązywaniu do tradycji i lwowskiego rodowodu „krynickiej perły” nie ma związku z rzeczywistością.

Reklamówki informacyjne istotnie nie kłamią, że:

Docelowo „Lwigród” będzie ośrodkiem wypoczynku, odnowy biologicznej SPA oraz sanatorium z pobytami rehabilitacyjnymi i leczniczymi. Po remoncie ośrodek będzie mógł przyjąć 200 gości, do dyspozycji których będzie bogata baza zabiegowa, jadalnia, kawiarnia, parking, a wkrótce także basen.

Jednak tyle i tylko tyle, a przecież do tradycji „miasta zawsze wiernego” próbuje się w tym wypadku nawiązywać, z czym zetknąłem się osobiście. Być może zawiedli doradcy, ale z pewnością był to duży błąd, a po prawdzie i grzech przeciw kulturze narodowej, bo obrazy te zostały stworzone właśnie i tylko dla tego gmachu i wyrosły z ducha samej inicjatywy jego wzniesienia.

No dobrze, źle się stało, ale najgorsze jeszcze przed nami! Z najwyższym bowiem niepokojem każdy rzeczy świadom miłośnik kultury polskiej, a już lwowianin w szczególności, mógł w zeszłym roku przeczytać taki oto anons:

Krakowska Desa (www.desa.art.pl) przywiezie nie tylko antyki, ale także katalog sensacyjnej aukcji, która odbędzie się 13 grudnia [sic!]. Pod młotek trafi m.in. 20 obrazów w stylu art deco, które w 1928 roku namalowano do sali balowej legendarnego pensjonatu „Lwigród” w Krynicy. Obecny właściciel pozbywa się pierwotnego wystroju². Przez to, historyczne miejsce straci swoją tożsamość. Kolekcję trzeba licytować jako całość. Autorami obrazów są Kazimierz Sichulski, którego sześć obrazów ma cenę wywoławczą 400 tys. zł, i Feliks Michał Wygrzywalski (700 tys.). Niektóre płótna wymagają konserwacji.

Jeśli władarze uzdrowiska krynickiego, które pośród innych polskich zdrojowisk właśnie wyróżnia się piękną tradycją, nie pragną jej szanować, to niech przynajmniej zastanowią się nad tym, że owa bezduszość jest także zwykłą niegospodarnością, a również jawną i oczywistą niewdzięcznością wobec śpieszących mu niegdyś z pomocą społeczników, dbałych o należyty splendor tego szczególnego miejsca. Krynica przyciąga liczne rzesze turystów, ale nazbyt wielu atrakcji kulturalnych – powiedzmy to szczerze – nie posiada. Wspominane tu dzieła są jednym z nielicznych niewykorzystanych pod tym względem „aktywów”. Można by zrobić mnóstwo interesujących rzeczy, a dla każdej z nich ów zbiór stanowiłby nie byle jaką ozdobę. Mogłaby to być galeria, zaczątek muzeum, a są to najbanalniejsze wizje. Łatwiej się pozbyć kłopotu; zainkasować parę groszy, które rozplyną się nie wiedzieć gdzie i kiedy, jak śnieg w wiosennym słońcu. A swoją drogą ciekawe, jakież to inwestycji chciano dokonać, jakież problemy rozwiązać, dzięki zdobyciu takim kosztem sumy odpowiadającej cenie średniej klasy i powierzchni mieszkania warszawskiego. Dodajmy, że wedle danych z 2002 roku Krynica zajmowała dziewiąte miejsce pod względem zamożności pośród trzydziestu ośmiu gmin uzdrowiskowych, a sto sześćdziesiąte czwarte na takiej liście 2490 polskich gmin.

² Ta część informacji na szczęście okazała się fałszywa.

Jednak nawet operując tak ubożuchną intelektualnie perspektywą, należałoby choć myśleć po kupiecku. Dzieła sztuki to nie ryby, które łącno mogą się zepsuć. Właśnie rozsądek nakazuje dokonywać sprzedaży i zakupów w odpowiednim czasie, w sposób jak najbardziej racjonalny. Sichulski i Wygrzywalski to dobre nazwiska, ale niekoniecznie także pozycje rynkowe. W *Przewodniku po rynku malarstwa* Piotra Sarzyńskiego z 1999 roku odnajdujemy informację, że ich prace bywały stosunkowo tanie (Sichulski do 5 tys. zł za obraz; Wygrzywalski podobnie, choć parę razy oferowano za nie też ponad 15 tys.). Co więcej, dość wyraźnie dzieła tych twórców cenowo raczej powoli szły w górę, co zresztą od dość dawna dotyczy tzw. sztuki salonowej, a tej ciekawym przykładem jest właśnie cykl *Historia tańca*. Obecnie jednak mamy kryzys i szczególnie wyraźnie manifestuje się on na rynku antykwarycznym. W relacjach z aukcji każdy przypadek korzystnej sprzedaży dzieła jest obecnie żywo komentowany i ten fakt powinien dawać do myślenia. Tym bardziej, że ostatnio na kupujących przerzuca się opłacanie prowizji, więc mocno wyśrubowana cena 50 tys. zł za płótno jeszcze musiałaby wzrosnąć. Trzeba jednak przyznać, że w tym przypadku mamy do czynienia z – najdelikatniej mówiąc – kompletnym brakiem umiejętności oceny sytuacji, choćby już tylko rynkowej.

Specyfiką krynickich obrazów są ich wielkie rozmiary, dramatycznie ograniczające krąg zainteresowanych. Na domiar złego, pojedyncze płótna mają zupełnie inną wartość niż cały zbiór. Rozproszenie go byłoby równoznaczne ze zniszczeniem pewnej wartości. Potencjalny nabywca będzie o tym myślał, tym bardziej, że nie może kierować nim poryw serca, nakazujący powieszenie sobie tego, a nie innego – na przykład konterfektu i napawanie się jego urodą oraz wmawianie znajomym, że to portret dziadka. Obrazy z obu cykli namalowanych dla „Lwigrodu” są dużą inwestycją dla każdego zbieracza, której efektywności nie sposób „skonsumować”. Można by w nich zamrozić kapitał, ale wówczas musiałaby to być długoletnia lokata, a na domiar złego, nader niepewna. Zresztą w takim wypadku cena musiałaby być okazyjna, a taką szczęśliwie nie jest. To też nie chcąc mnożyć tu rozważań teoretycznych, wypada jednak wspomnieć, że oferta „krynicka” już dwukrotnie nie zyskała nabywcy.

Do rozważenia pozostają jeszcze kwestie moralne. Ograniczmy się do fundamentalnych pośród nich. Powtórzmy więc raz jeszcze: Polska jest krajem, którego spuścizna bywała rozgrabiana i niszczona po wielokroć, i to nie tylko w dawnych wiekach. Ten jej fragment, o którym tu mowa, a którego depozytariuszem stała się Krynica, jest związany z piękną legendą szeroko rozumianego powstania „Lwigrodu” i dzieciństwa największego polskiego współczesnego Poety, wreszcie i kresowego miasta, pierwszego zbiorowego kawalera *Virtuti Militari*, a splendor jej spada nie tylko na uzdrowisko niegodnie sprawujące nad obrazami tymi opiekę, ale i na całą Sądecczyznę. Równocześnie warto zapytać: czy obrazy, o których tu mowa, są własnością kierownictwa Uzdrowiska Krynica-Żegiestów. Moim skromnym zdaniem, osoby w nim zasiadające mogą się uważać co najwyżej za depozytariuszy części naszej spuścizny narodowej. Sprzedaż tych dzieł tak czy inaczej zuboży pejzaż kulturowy zarówno samej Krynicy, jak i całego regionu, za co nie będzie mogło być żadnego przebaczenia, a wstyd spadnie na nas wszystkich.